



Zapałka w ciemnościach

Wychowałam się w rodzinie, która określała się jako wierząca, ale nie praktykująca. Rodzice mówili, że wierzą w Boga, ale nie czczą Go w sposób aktywny. Przychodziliśmy do kościoła kilka razy w roku zgodnie z tradycją: po kredę do napisania inicjałów K+M+B na drzwiach, na poświęcenie koszyka na Wielkanoc, msze za zmarłych bliskich, śluby i komunie. Nikomu z nas nie przychodziło do głowy, by chodzić do kościoła w każdą niedzielę.

Tak samo było z czytaniem Biblii. Obok bajek czytanych mi przez mamę były przypowieści Jezusa, historia Mojżesza czy Arki Noego. Traktowałam je jednak jako bajki, a nie opis historii. Byłam przekonana, że znając historię Hioba, walkę Dawida z Goliatem czy stworzenie świata oraz fragmenty Nowego Testamentu, przerabiane na języku polskim w szkole, dobrze znam Biblię.

Zawsze wierzyłam w „coś więcej”, w duchową strefę świata, jej istnienie było dla mnie oczywiste. Jeżeli była we mnie idea Boga, to jako surowego Ojca z modlitw, do którego mówi się formułami, by Go nie rozgniewać nieuważnym słowem. Boga który karze, sądzi, podobno kocha, a przede wszystkim jest odległy, nieobecny w codziennym życiu, możliwy do znalezienia tylko przez kapłanów, służących przy ołtarzu w ogromnych ozdobnych świątyniach.

Nigdy nie stawiałam Boga na pierwszym miejscu. W strefie duchowej byłam bardzo pogubiona. Szukałam pośród różnych wierzeń, bożków, miałam etap interesowania się duchami i kultyzmem. Jeżeli się modliłam, to kierowałam modlitwy w złą stronę. Szkoła, do której chodziłam, szybko nauczyła mnie, że wierzyć – znaczy być naiwnym. Używaliśmy wrywków Biblii, które znaliśmy, żeby udowodniać, że Bóg jest niesprawiedliwy a Jego prawa surowe i pozbawione sensu, że nie interesuje się światem i pozwala na to, co się dzieje. Oznaczało to dla nas, że Bóg albo nie istnieje, albo jest zły. Prześcigaliśmy się w sceptycyzmie wobec wiary i Kościoła.

Zawsze byłam cicha i nieśmiała. Czułam się też mniej wartościowa niż ludzie, którzy mnie otaczali. Dlatego próbowałam wyrobić sobie markę. Na pytanie kim jestem, zawsze szukałam odpowiedzi, która stawiałaby mnie wysoko w oczach rozmówcy. Dla dorównania siostrze chciałam być muzykiem. Dla uznania, którego chciałam od mamy, starałam się być dobra w naukach ścisłych, by kiedyś pójść w jej ślady i studiować na politechnice. Szukałam siebie, a plakietki: muzyk, matematyk czy artysta brzmiały dobrze i podnosiły moją wartość jako człowieka w oczach moich i ludzi dookoła mnie. W wielu dziedzinach, którymi się zajmowałam, radziłam sobie naprawdę dobrze, ale nie cieszyło mnie to, ponieważ - mimo talentów, jakie dostałam od Boga – zmuszałam się do tego, wierząc że to, ile zrobię, ile osiągnę, jak dobra będę w każdej dyscyplinie, determinuje moją wartość.

Moja siostra zaczynała wierzyć, dołączyła do Kościoła, chodziła na nabożeństwa, a ja byłam gdzieś daleko, na wpół tylko zdając sobie sprawę z tego, że ona zaczęła się zmieniać i naprawiać relację ze mną. Byłam jednak wtedy w okresie buntu, kiedy człowiek nie chce słuchać nikogo, a zwłaszcza gdy ktoś chce go ograniczać, próbując nawracać do Boga, który w moich oczach był surowym tyranem. Nie pozwalałam narzucić sobie tych wszystkich bezsensownych praw, o które podejrzewałam Boga. Utwierdzało mnie w tym moje wyobrażenie cichego, pokornego, nijakiego chrześcijanina. Chciałam przecież być świetna. Chciałam być wybitna. Nie chciałam być nudna i szara. Chciałam błyszczeć i zdobyć, zagarnąć wszystko, czego tylko zdołam osiągnąć.

Były momenty, kiedy czułam Bożą obecność. Czasem dawałam się namówić mojej siostrze na wyjście do kościoła, jakieś uwielbienie czy koncert TGD, w którym moja siostra ostatecznie zaczęła śpiewać. Ale emocje trwały dzień, może dwa. Było to uniesienie, które doklejałam do nieprawdziwego obrazu Boga. Emocje mijały i zostawałam nadal z moim wypaczonym obra-

zem Boga, odległego ode mnie o całe oceany. Szara rzeczywistość, wytrenowany sceptycyzm i wplątanie się w świat okultystyczny, którego wpływ na moje życie zauważałam bardzo późno, brały górę. Wracałam do miejsca, w którym byłam.

Pierwszym przełomem była konferencja EXODUS, na którą zabrała mnie siostra. Nie pamiętam nawet, czemu się zgodziłam tam pojechać. Może chciałam zrobić przyjemność Patrycji, ponieważ nasza relacja – dzięki niej – była już dużo lepsza, pomimo wszelkich przeszkód z mojej strony. Zawsze, kiedy mówiłam, że nie byłam w kościele albo że nie wiem, czy wierzę, widziałam, jak było jej smutno. Zazwyczaj mnie to złościło, czasem – jak wtedy – motywowało do kolejnej próby. Na EXODUSIE po raz pierwszy usłyszałam kogoś, kto mówił o Bogu z sensem. Zdumiało mnie to. Słyszałam naprawdę dobrą muzykę. Wysłuchałam wartościowych i fascynujących wykładów, które w niczym nie przypominały mi nudnych kazania, na które musiałam chodzić, przygotowując się na bierzmowanie. W końcu poznałam wartościowych ludzi, którzy nie tylko nie wydali mi się szarzy i nudni, ale wręcz przeciwnie – byli ciekawi, różnorodni i niezwykli, bił od nich blask. Wszystko, co tam zobaczyłam i usłyszałam, sprawiło, że zaczęłam się modlić i płakać, tęsknić za czymś, czego nie rozumiałam. Ostatniego dnia konferencji zapraszano pod scenę chorych i tych, co byli duchowo czy fizycznie uzależnieni, by się o nich modlić. Wstałam i podeszłam razem z innymi. Był to wielki krok w mojej duchowej walce.

Nie był to jeszcze koniec mojej walki. Jeszcze nie raz miałam żałować wszystkiego, w co wplątałam się w sferze duchowej, nie znając jeszcze Jezusa. Odkryłam to dopiero w momencie, kiedy próbowałam się uwolnić od mojej przeszłości. Dziś jest już ona daleko. A kiedy wraca – wiem czyjej pomocy szukać. I wiem, kto trzyma mnie w swoim ręku i jak mało wróg ma do powiedzenia, kiedy wzywa się pomocy Pana.

Pamiętam, jak pastor zapalił zapałkę w ciemnościach, mówiąc, że kiedy zapalamy światło, ciemność nie ma wyboru – musi ustąpić. Będąc nastolatką, panicznie bałam się ciemności. Dlatego te proste słowa pastora uderzyły mnie. Wystarczyło zapalić zapałkę, by zniknęło coś, co od lat mnie przerażało. Nic nie obrazowało lepiej tego, co Pan Bóg zrobił dla mnie. Kiedy strach powracał, kiedy pojawiała się panika, przypominałam sobie tamto kazanie i wzywałam Pana, wiedząc, że to Bóg zwycięża i że nie zależy to od tego, czy dość mocno się modlę, czy wystarczająco dobrze się zachowywałam, czy nie grzeszyłam. Kiedy proszę Boga o pomoc – zapalam zapałkę, a ciemność musi odejść. Strach, panika, przerażenie, wszystko, co mnie atakuje, musi ustąpić, kiedy jest przy mnie Bóg. Walka jest już dawno wygrana i świadomość tego była dla mnie w trudnych chwilach największym błogosławieństwem.

Pomimo wspólnej wiary, ja i siostra pozostałyśmy różne. Uwielbienie, które jej przychodziło łatwo, dla mnie było czymś, czego muszę się nauczyć. Przebywanie z ludźmi, za którym ona przepadała, dla mnie było ogromnym wyzwaniem, któremu często towarzyszył

ogromny strach. Nie mogłam więc wtopić się we wspólnotę i zakorzenić w Kościele tak łatwo jak ona. W pewnym sensie samotnie zaczynałam na nowo odkrywać Boga. Strach przed ludźmi nie zawsze pozwalał mi wyjść z domu. Ogromnym błogosławieństwem dla mnie były wtedy nabożeństwa online. Mogłam słuchać kazania, nawet jeśli nie byłam gotowa na przebywanie z ludźmi. Największym oparciem była dla mnie Biblia. Dostałam od siostry piękne wydanie i zawsze miałam ją w plecaku. Przestałam też przejmować się tym, co pomyślą ludzie ze szkoły, widząc jak – dotąd cyniczna w kwestii religii – powoli przechodziłam przez proces nawracania się. W moim sercu i umyśle powstawał nowy obraz Boga, który jest miłością, jest blisko, jest przy mnie. Nie chodziło już o to, kim jestem w oczach innych. Etykiety artystka, muzyk przestały mieć znaczenie. Ważne było to, kim jestem w oczach Pana. A chciałam być Jego dzieckiem i mieć z Nim prawdziwą, autentyczną relację, nawet jeśli nieraz potykałam się na mojej drodze.

Po pewnym czasie postanowiłam poświęcić Bogu nie tylko moje serce, ale i mój czas. Włączyłam się w działania multimedialne w Społeczności Chrześcijańskiej „Południe” w Warszawie, co uważam za dowód na to, że w Kościele dla każdego jest miejsce. To moja służba i schronienie jednocześnie. Dzięki temu miałam większą motywację, by rano wyjść z domu i ruszyć na pociąg. Łatwiej przychodziło mi przebywanie z innymi, gdy trzeba było pytać, co mam zrobić albo jak coś włączyć. Po jakimś czasie zaczęłam też rozmawiać o sprawach niezwiązanych ze służbą. Nie zmieniło to mojego charakteru, nadal jestem nieśmiała, ale już nie boję się ludzi, a rozmowy sprawiają mi przyjemność, co kiedyś było nie do pomyślenia.

Od pewnego czasu czuję się częścią Kościoła. Zakorzeniłam się w tej społeczności i czuję się w niej dobrze. Czytam Pismo i modlę się, pielęgnuję relację z Bogiem. Powierzyłam Mu swoje życie, choć było mi trudno zaufać, że On ma dla mnie lepszy plan niż to, co sama wymyślę.

Stosunkowo późno zdecydowałam się na chrzest. Uważałam, że do chrztu powinno się przystępować, będąc idealnym. A ja nie naprawiłam jeszcze wszystkiego w moim życiu. Nadal grzeszę, popełniam błędy i się potykam. Ale chrzest nie jest przecież końcem procesu, raczej początkiem życia z Bogiem. Przez chrzest wyznaję, że wierzę, że przyjmuję to, co stało się na krzyżu, że jestem dzieckiem Bożym, że nie jestem w stanie zasłużyć na zbawienie, ale i nie muszę, bo zostało mi ono podarowane na krzyżu Golgoty przez Jezusa Chrystusa, który umarł również za moje grzechy. To wielki, wspaniały, niewyobrażalny dar – nie za żadne zasługi, a z miłości mojego Ojca w niebie. Przyjęłam chrzest, by wyznać, że przyjmuję ten największy z darów, że Jezus jest moim Zbawicielem i Panem, i dla Niego chcę żyć.

DOMINIKA